Nr. 18. We Lwowie dnia 6. maja 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Bulletin Polonais“

W PARYŻU.

III.

Powrócić jednak muszę do cytaty, poprzednio przytoczonej, dla rozjaśnienia jeszcze jednej wątpliwości. — Życie w kraju nie płynie tak jednym nurtem, jak poryw patrjotyczny w duszy tęskniącego za krajem. Są więc przedewszystkiem dzielnice, później partje, wreszcie różnice między zaborami. Do jakiegoż więc typu pisma, czy kierunku krajowego zbliża się *Bulletin*? Oczywiście od tego zależeć będzie stopień sympatji, jaką pozyskać może wśród tej lub innej grupy.

Cytata mówi, że »nie znając szczegółowo interesów, nie będziemy mieli pretensji do przodowania« i dalej, że za cel główny uważa pismo protest przeciwko obecnej sytuacji politycznej oraz prostowanie oszczerstw i błędów o Polsce. Obywatele Francji respublikańskiej, wyznawcy ideałów narodowościowych i tego idealnego pierwiastka »solidarności społecznej« i sprawiedliwości międzynarodowej, które są z niemi nierozerwalnie związane, zbliżają się współpracownicy pisma do t. zw. postępowego odłamu naszego społeczeństwa. Muszą też być demokratami, o ile przynajmniej, nie mówiąc o programach partyjnych, demokracja jest związana z pojęciem o odrodzeniu się i rozwoju Polski

Rzecz jasna, że tak ogólnikowe określenia nie wystarczyłyby dla żadnego z pism politycznych w kraju. Można również domyśleć się, że przy całej tolerancyjności *Bulletin*'a nie znajdą w nim miejsca programy zbyt klasowe, zarówno szlacheckie czy mieszczańskie, jak i socjalistyczne. Zawsze jednak ogromna większość zjawisk społecznych, bezspornie świadczących o żywotności narodu, może tu znaleźć odbicie. Prawda, że i »żywotność« samą inaczej rozumieją ludzie różnych partji. Nie bawmy się wszakże w retorykę, bo jednak tam, gdzie chodzi nie o wewnętrzną grę interesów klasowych, ale o reprezentowanie narodu na zewnątrz przed obcymi, bilans dorobków kulturalnych, narodowej spójności, wyrobienia politycznego i wreszcie siły materjalnej może być ułożony za rękojmią zbiorową wszelkich odcieni. A o te właśnie pozycje chodzić może zagranicy i te stara się uwzględnić *Bulletin*.

Czy są jakieś namacalne rezultaty jego pracy? Niewątpliwie, jeżeli tylko przed oceną ich uwzględnimy, jak niepopularnej dziś w Europie sprawy broni to pismo. Jednak liczą się z niem: przysyłają mu książki, w których jest mowa o Polsce; zamieszczają o nim notatki w Bibljografji bieżącej; niektórzy profesorowie, jak Albert Sorel lub Guidoz korzystają z *Bulletin*'a i liczą się z nim niewątpliwie. Z drugiej strony *Bulletin* rozsyła swe egzemplarze wszystkim, kogo tylko posądza o zainteresowanie się sprawą polską. Czasem znów, jak np. jeden z numerów kościuszkowskich, rozsyła do wybitniejszych osobistości: profesorów, deputowanych, dziennikarzy. Nie ulega kwestji, że znają *Bulletin* i czytują o wiele więcej, niżby się zdawało i rzecz prosta, że większość dzisiejszej prasy francuzkiej nie znajduje w nim informacji, któreby rada była przedrukować.

Pozwolę sobie wreszcie zauważyć, że owa pozorna dwoistość, ów makaronizm batyniolski, który może razi pruderję czyjąś, jest dla nas bardzo pomyślnym warunkiem. W gruncie rzeczy, w uczuciach, w aspiracjach nie ma tu żadnej dwoistości, przejawia się ona dopiero w sferze działania: jej to zawdzięczać należy, że n. p.

p. Wacław Gasztowtt, odczuwszy ducha poezji polskiej, może ją przyoblec w formę francuzką, że redakcyjny komitet, robiąc wybór w swych informacjach, nie omyli się co do wartości narodowej zjawisk w kraju, ale prócz tego potrafi je przedstawić w terminach zrozumialszych dla obywatela francuskiego.

O jedno więc jeszcze westchnąć nam wypada: oby bodaj dawni emigranci, dziś zamieszkali w Polsce, zaprenumerowali *Bulletin* i oby bodaj setny z tych, którzy oświadczyli się za »informowaniem prasy zagranicznej«, napisał czasem artykuł z kraju!

Niestety, jak dotąd, wzdragało się przed makaronizmem takim nasze sumienie literackie — to łożysko jednolitego zawsze nurtu dobrych chęci...

Antoni Potocki.

Marsylianka wiosny.

Ciemna runęła zimy satrapia;
Już wiosna! szepczą i gwarzą,
Młodzi się cieszą — poeci marzą,
Starzec się w myślach zatapia.

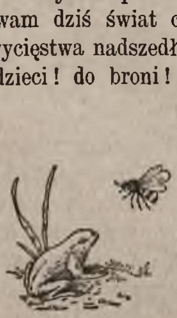
Wody wylały! — z ust do ust krąży —
Tysiące wiatrów zawiało!
Słońce z sztandarem złotym powstało,
Wiosennych hufców chorąży.

Naprzód, o dzieci! w bój się rzucajcie!
Zmartwychwstań, wszelkie stworzenie!
Kwiaty, powstańcie! ruszcie, strumienie!
Wychodźcy lotni, wracajcie!

Świat już dość długo dźwigał kajdany —
Dziś swobód bije godzina;
Nowa się era światu poczyna
Drżyj, zimo! gińcie, tyrany!

Gińcie! dziś wszystko po naszej stronie,
Przeciwko wam dziś świat cały;
Bo dzień zwycięstwa nadszedł i chwały —
Do broni, dzieci! do broni!

Quis.



BŁĘKITNY NASZYJNIK.

(Z cyklu »Z dalekich lądów«).

Piękna Yanga, (co znaczy: Radość), dziewica z murzyńskiego plemienia Tabu, rzekła dorodnemu Sokomé, (co znaczy: Twarda Pięść, pragnącemu ją poślubić:

— Zostanę twoją żoną, ale musisz ze służby u białych ludzi przynieść mi naszyjnik z trzech rzędów wielkich pereł niebieskich, przegradzanych złotemi gwiazdami. Naszyjnik taki widziałam u mojej przyjaciółki Moa, kiedy z braćmi jeździłam do Bassa na jej wesele. Odtąd tylko o nim myślę i ten zostanie moim mężem, kto mi go na szyji zawiesi.

— A więc ja nim będę — rzekł z postanowieniem Sokomé — ale przyrzecz mi, Yango, że będziesz czekała cierpliwie, aż drugie deszcze opuszczą się na ziemię. Wtedy wrócę i przywiozę ci twój naszyjnik.

— Dobrze — odpowiedziała Yanga — pamiętaj tylko, żeby perły w drugim rzędzie były większe, niż w pierwszym, a w trzecim większe, niż w drugim.

Rozmawiali tak, stojąc nad brzegiem morza, obróceni na północ i oczekując na ukazanie się »pływającego domu« z kraju białych, który spodziewany był lada chwila.

Sokomé i kilkunastu innych dzielnych chłopców zamierzało wsiąść do niego i popłynąć dalej na południe, aby ofiarować swoje usługi rozsianym wzdłuż brzegu europejskim faktorjom i plantacjom, a po roku wrócić do rodzinnego kraju z mnóstwem najśliczniejszych rzeczy w nowiutkich blaszanych kuferkach, jak to zdawna było przyjętym zwyczajem w pracowitem a wędrownem plemieniu Tabu, stanowiącem jedną gałęź wielkiego szczepu Kru, na Liberyjskiem wybrzeżu osiadłego.

Każdy z tych zuchów był w stanie stąpać lekko pod dwustufuntowym ciężarem na głowie i cały dzień kotlasem machać w gąszczu, nie zmęczywszy się bardziej, niż gdyby dla zabawki trzcinką trawę rozgartywał. Spodziewali się więc dobrej służby i pięknych *daszów* (podarunków) i byli w jaknajweselszem usposobieniu.

Jednemu tylko Sokomé mroczyły się oczy i bladły wypukłe wargi na myśl, że przez długi czas będzie pozbawiony widoku pięknej Yangi, swojej wybranej *yunuby* (kobiety). Był to bardzo wyjątkowy młodzieniec; miłośna tęsknota bowiem jest pojęciem, na które dźwięczne narzecze Tabu — nader gulgotanie gotującej się wody w kociołku przypominające — zgoła nie ma wyrazu, jak go nie ma na sanki, śnieg, mróz lub tym podobne obce zjawiska.

Ale oto ciemna plama pojawia się i rośnie na horyzoncie; wykwita z niej kręta smuga dymu

i przeraźliwy gwizd wstrząsa powietrzem. Wspaniały okręt z rozwiniętymi wszystkimi żaglami, których jeszcze po wyjściu z pasatów nie ściągnął, zatrzymuje się na pełnem morzu i rzuca umówione hasło, że miejsce jest. Więc czyja wola, niech się śpieszy.

Nieopisany zamęt powstaje na cichem zwykle, sennem wybrzeżu. Z żółtego piasku zrywają się czarne postacie i pędzą do piróg, spychając je na wodę. Małe dzieci wrzeszczą, jak opętane, i pływają dokoła wątłych łódek, jak gdyby były rybami, przez pomyłkę na lądzie urodzonemi. Cała wieś wybiega, aby odprowadzić wybierających się na okręt młodzieńców.

Przygotowania tych ostatnich są, można powiedzieć, żadne. Sam Djogenes nie potrafiłby się puścić w podróż z mniejszymi pakunkami. Ale też cała chluba w tem, aby wywieźć puste ręce i chude boki, a wrócić z pełnym *boxem* (skrzynką) i sytym żołądkiem. Marnotrawny syn jest tu postacią równie nieznaną, jak tkliwy Abelard.

Piękna Yanga wsiada także do pirogi, w której znajduje się Sokomé, nietylko dla tego, aby dłużej cieszyć się jego obecnością, ile że ma nadzieję sprzedać za wzorzystą chustkę lub flakonik perfum kilka świeżych kokosów, które w dniu wczorajszym strącił dla niej Sokomé, wdrapawszy się na palmę z chyżością dzikiego kota.

— Pamiętaj, aby perły były tak mocnego koloru, jak niebo po wielkim wietrze — powiada mu na pożegnanie; a on, już z pokładu, na który dostał się, jak reszta, po rzuconej mu sznurowej drabince, woła.

— Pamiętaj, abyś mi była wierną!

Rozstają się wreszcie. Sokomé i jego towarzysze zabrani są natychmiast pod pokład do maszyny, gdzie zastępują europejskich palaczy, niezdolnych do podobnej pracy w tak gorącym klimacie.

Wieczorami najzręczniejsi biegają po bortach, ściągając na noc płótno olbrzymiej markizy, pod którą spacerują pasażerowie pierwszej klasy, a nieodzowny angielsko-afrykański misjonarz w olbrzymim kapeluszu filcowym przeszkadza im w robocie, wtykając w ręce książeczki z hymnami i gorszy się, gdy go na migi pytają, czy to jest co do jedzenia.

Dnie schodzą im szybko przy zajęciu i nawet Sokomé nie ma wiele czasu na tęsknotę za piękną Yangą Muszą przecież odrobić jadło i kąt na okręcie, choć i tak kapitan ściągnie po półtora funta pasażu za głowę od przyszłego ich pana.

Przybyli nareszcie do Starego Kalabru i tam znaleźli służbę u ajenta wielkiej faktorji, gotowej wymienić wszystko, co tylko cywilizacja dać może, na olej palmowy lub kauczuk. Gdyby tą drogą można było zbywać przekonania polityczne lub cnoty domowe potężnego Albionu, faktorja z rozkoszą byłaby prowadziła i ten handel, że jednak podobne towary nie znajdowałyby pokupu wśród miejscowych kacyków, znakomita firma »Bartley Brothers & Comp.« musiała poprzestawać na dżynie, rumie, tytuniu, broni, perfumach, świecidłach, parasolkach i t. p.

Ale służba w niej była bardzo dobrą.

Każdy *boy* (chłopiec, robotnik) dostawał dziennie funt ryżu i funt świeżych ryb, co okraszone olejem palmowym, podbieranym zręcznie z faktoryjnych kadzi, stanowiło przepyszną potrawę. Na niej samej można się było utuczyć, a jednak nikt im nie bronił piec platany w popiele, gotować kokę lub bataty i zajadać się doskonałą zupę *banga*, ze świeżych palmowych śliwek wyciśniętą. W niedzielę zaś każdy otrzymywał po funcie solonego lub świeżego mięsa i butelkę rumu na dwóch. Skoro się więc miało takie jedzenie, to się miało nieomal wszystko, czego dusza w czarnem ciele zapragnąć może. Ach! gdyby Kartezjusz urodził się był w Tabu, z pewnością filozoficzne swoje postulaty zamknąłby w określeniu: »Jem, a więc jestem«.

Nie brakło też naszym zuchom i na innych bardziej duchowych rozkoszach. W sąsiedniej faktorji zastali współbraci, partję boyów z Tabu, którzy na kilka miesięcy przed nimi opuścili rodzinne wybrzeża; było więc w święto z kim się nagadać, a wieczorami przy ogniskach i tam-tamach urządzać wielkie, długo w noc przeciągające się *Nyanga-Nyanga* (zabawy).

Co się tyczy pracy, ta w dnie parowców z Europy i do Europy bywała piekielną; w zwykłym trybie rzeczy dostateczną, aby pobudzić to boskie uczucie, zwane apetytem; zdarzały się zaś chwile świętego próżnowania i swobody, gdy pan ajent miał gości lub sobie trochę podchmielił.

Wśród tego wszystkiego Sokomé nie zapominał o Yandze i jej naszyjniku. Skoro tylko próg faktoryjnych składów przestąpił, bystrem spojrzeniem ogarnął nagromadzone tu europejskie cuda, ale nie dostrzegł nic podobnego do upragnionego przez kochankę klejnotu.

Zmartwiło go to bardzo, ile że z angielskiej mowy znając tylko sześć wyrazów, nie wiedział, jak się wziąć do tego, aby się w tej ważnej sprawie ze swoim panem porozumieć.

Los jednak sam przyszedł mu z czasem w pomoc.

W Kalabarze i w ogóle na całym zachodnim brzegu jest taki zwyczaj, że *boye* dostają całkowitą zapłatę nie w pieniądzach lecz w naturze i dopiero po ukończonym roku służby; ale wolno im w trakcie tego wziąć na tak zwany *book* (książkę) co zechcą towarów, byle wartość ich nie przekraczała nigdy połowy należnej im kwoty. Do książki tej zapisują się także i strącają pilnie dnie robocze, opuszczone z powodu choroby i innych przyczyn, oraz takie, które się wykreślają jako kara za niedbalstwo, lenistwo i hardość. Jest to doskonały systemat: murzyn ćwiczy się w moralności i przestrzeganiu zasad hygjeny, a pan jego ma czysty zysk.

Wszyscy towarzysze Sokomé korzystali z przywileju; nie było tygodnia, żeby który z nich nie wziął »na książkę« to butelki rumu, to kawałka pachnącego mydła, to yarda bawełnianej materji. Tylko książka Sokomé pozostawała czystą, jak sumienie nowonarodzonego dziecka.

Zwróciło to uwagę jego pana i zagadnął go o przyczynę tej wstrzemięźliwości, a było to już w piątym miesiącu jego służby, kiedy Sokomé mógł nietylko zrozumieć, ale i odpowiedzieć tak zwaną »gołębią angielszczyzną«, to jest żargonem, z którym w Londynie możnaby zostać sprzedanym i kupionym, nie znając swojej ceny.

— Massa — rzekł Sokomé — mam wielki bardzo sprawunek i nie wiem, co on kosztować będzie. Muszę więc oszczędzać, aby mi starczyło potem i na dużo innych rzeczy, bo umarłbym ze wstydu, gdybym wrócił do mego kraju z kuferkiem, w którym grzechotałoby, jak w suchej kalabasie.

Samo się przez się rozumie, iż większą część tego pięknego i rozumnego zdania wypowiedział na migi, ale pan ajent, obeznany z murzyńską pantominą, nie potrzebował więcej, aby wejść jeżeli nie w szczegóły, to przynajmniej w myśl przewodnią Sokomego.

— Cóż to za sprawunek? — zapytał łaskawie.

Dnia tego był w świetnym humorze. Udało mu się kupić kilka worków orzechów palmowych od przybyszów z głębi za pakę fuzji skałkówek, które miały tylko tę jedną wadę, że nie chciały strzelać. Zresztą były to śliczne i doskonałe fuzje, a wiadomo, iż rzeczy, którymby żadnego zarzutu postawić nie można, znajduje się bardzo mało na świecie, cóż dopiero w afrykańskim handlu.

Sokomé, ośmielony dobrocią pana, zwierzył mu się jednocześnie z tajemnicy swego serca i ze swego kłopotu; opisał, jak umiał najlepiej, piękność Yangi i wymagane przez nią zalety błękitnego naszyjnika, i zapytał wreszcie: jakim sposobem mógłby się znaleźć w posiadaniu tego ostatniego.

Przedstawiciel znakomitej firmy Bartley Brothers & Comp. zamyślił się chwilę.

— Jest to rzeczywiście bardzo kosztowny sprawunek — rzekł — i gdybym był na twojem miejscu, Sokomé, dałbym sobie pokój z *Mami* (kobietą), mającą tak rujnujące zachcianki. Ale to już rzecz twoja. Jeżeli chcesz, napiszę do Anglji pierwszym parowcem, a za dwa miesiące będziesz miał naszyjnik, jakiego pragniesz.

Czarne oczy Sokomego błysnęły. W szerokim uśmiechu ukazał wszystkie swe białe zęby z wypiłowanym w dwóch przednich rowkiem, wedle uświęconego tradycją zwyczaju w Tabu.

— Dziękuję, massa — rzekł, na dowód głębokiej wdzięczności dotykając kilkakrotnie dłonią swej wspaniale rozwiniętej piersi. — Obiecałem, więc dotrzymać muszę, bądźcobądź. Ale zawsze chciałbym wiedzieć, ile to będzie kosztowało.

Pan ajent pomyślał znowu chwilę. Był to naprawdę dzień szczęśliwy, godzien naznaczenia białym kamykiem w kalendarzu handlowym. Zazwyczaj *boye* nie miewają podobnych fantazji. Biorą towary rozpowszechnione na brzegu, kubek w kubek takie same, jakie brali ojcowie i dziadkowie ich pokolenia i na które są stałe ceny. W takich warunkach zarabia się na nich sto, najwyżej sto pięćdziesiąt za sto; skromny, uczciwy procencik, niby kupon od zastawnego listu wszelkich trudów, niebezpieczeństw i ryzyka operacji finansowych na czarnym lądzie.

(D. c. n.) *Hajota.*

Dwie prace Jelinka.

Listy Wojciecha Cybulskiego do Wacława Hanki (1830—1847). Ogłosił Edward Jelinek. Poznań 1894. — Korespondencja pana Adama Junosza Rościszewskiego z Wacławem Hanką (Refleksje z czasów odrodzenia) 1829—1844 przez Edwarda Jelinka. Poznań 1894.

P. Edward Jelinek wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł wydawania korespondencji Polaków z Czechami. W ten sposób da się wyświetlić historycznie sprawa »wzajemności czesko-polskiej«, której szanowny wydawca jest tak gorliwym bojownikiem.

Stosunki pomiędzy Polakami a Czechami zawsze były bardzo żywe, a wpływ literatury polskiej ciągnie się czerwoną nicią przez dzieła najwybitniejszych poetów czeskich (Macha, Koutek, Tyl). O wpływach polskich w literaturze czeskiej możnaby obszerną monografję napisać, a korespondencje, wydawane przez p. Jelinka posłużyłyby jako dobry materjał pomocniczy. Zwłaszcza w bogatej spuściźnie Wacława Hanki, przechowywanej w Muzeum czeskiem w Pradze, da się odszukać dużo śladów stosunków polsko-czeskich. P. Jelinek sięgnął do tej skarbnicy i wydobywa z niej szczegóły, które nas zwłaszcza bardzo żywo obchodzą. W »Świecie« krakowskim z r. 1894 ogłosił p. Jelinek dwa listy Tytusa hr. Działyńskiego do W. Hanki, obecnie zaś publikuje dwa zbiorki tych korespondencji.

Adam Junosza Rościszewski był dziedzicem w rzeszowskiem w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Zapoznawszy się przypadkowo z językiem czeskim, stał się gorliwym zwolennikiem

Czechów i począł piastować wzajemność polsko-czeską. Zawiązał stosunki z Hanką, który był wówczas bibljotekarzem Muzeum czeskiego w Pradze, a przez niego począł korespondować z całym szeregiem wybitnych działaczy czeskich jak: Szafarzyk, Jungmann, Palacky, Czelakowsky, Erben, Purkynie i inni. Mało tego; zachęcony znajomością z Czechami, zawiązał stosunki i ze Słowakami (Kollarem, Kuzmanym), Łużyczanami, a nawet Rosjaninem Pagodinem. W ten sposób ze zwykłego szlachcica galicyjskiego wyrobił się prawdziwy słowianofil. Nie poprzestał on na korespondowaniu z wybitnemi osobistościami świata słowiańskiego, ale począł od r. 1828 obdarzać Muzeum czeskie wielką ilością polskich książek, obrazów i innych pamiątek narodowych, przez co ogromnie przyczynił się do założenia bogatego działu polskiego w bibljotece Muzeum czeskiego. Przysyłał książki polskie całemi pakami, przysłał raz n. p. cały zbiór publikacji, odnoszących się do powstania listopadowego, a z nim razem guzik żołnierza polskiego. Namawiał swych znajomych we Lwowie, Poznaniu i Krakowie do tegoż samego. Nawzajem wszystkie książki czeskie, jakie tylko otrzymywał odsyłał natychmiast po przeczytaniu do Muzeum Ossolińskich we Lwowie. Śledząc pilnie wszystko, co działo się w Czechach, obdarzał swych przyjaciół czeskich informacjami, dotyczącemi spraw polskich. Korespondencja Rościszewskiego z Hanką stanowi wielki tom, to też p. Jelinek wybrał i ogłosił tylko ustępy najciekawsze, w których znajdują się szczegóły bardzo ciekawe a dotyczące życia galicyjskiego w epoce przedkonstytucyjnej. Korespodencja ta jest również ciekawym materjałem do charakterystyki sympatycznej postaci idealisty-słowianofila polskiego.

Druga broszurka, zawierająca listy znanego profesora literatur słowiańskich na uniwersytecie we Wrocławiu, również przedstawia dość ciekawych materjałów, za których ogłoszenie szczera wdzięczność należy się p. Jelinkowi.

L. Wasilewski.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

II. Bukiecik rozmarynu.

(Ciąg dalszy).

Celka potakująco głową skinęła, z góry będąc przekonana, że to, co w odpowiedzi usłyszy, nie sprawi jej zbyt wielkiej przyjemności.

— O ty, biedaczko, w jakiemże to znalazłaś się położeniu! — niby się lituje Cywkowa, ale słowa jej tchną jadem i obłudą. — Veronka chyba rozum postradała, jeżeli mogła cię wybrać sobie za druchnę. Czemże ty jesteś i co masz, że się ośmiela postawić cię obok takiego chłopca? I jakże ci samej to nie przyszło do głowy? jak mogłaś nie odmówić Veronce! Nie mam, Boże uchowaj, nic złego na myśli, tak mówiąc, wiem, żeś zacna i porządna dziewczyna, ale i bezemnie sama chyba pojmujesz, że Paweł nie para dla ciebie. Biedactwo! wyobrażam sobie, jak spojrzy na ciebie! Założę się o co chcesz, że z kwitkiem cię odeśle. Znajdzie jaki wybieg, aby z tobą nie iść, a jutro sam sobie przywiedzie jaką druchnę. skoro panna młoda wybrać mu takowej nie umiała. Każda pójdzie z nim chętnie, choćby nawet zgłosił się do niej w ostatniej chwili, poszłaby z nim zapewne i siostra moja. Możesz mu o niej wspomnieć, gdy się zacznie wymawiać, aby z tobą nie drużbować. Gdyby zaś przyszedł po siostrę, w takim razie niech matka twoja zgłosi się do nas po bochenek chleba, a może i garnek wziąść ze sobą, dodam jej kapkę mleka. Znasz mię z tej strony, że się zawstydzić nie dam!

I poszła dalej, szeleszcząc suknią.

Celka patrzy w ślad za odchodzącą takim wzrokiem, jak gdyby z niej duszę wyjęto, a gdy zarośla skryły jej z przed oczu pyszną samochwałkę, pada całem ciałem w trawę i rzewnemi zalewa się łzami.

Rozumie, że nie może się równać z Pawłem, rozumie to dobrze, ale tego przecież nie przypuszczała, aby była niegodną nawet raz jeden w życiu przejść z nim przez plac z kościoła do gospody i tam przy dźwiękach trzech pieśni trzy z koleji tańce z nim przetańczyć. Jakżeby mogła nie wiedzieć, że nie mając posagu ani na makowe ziarneczko, nie śmie marzyć nawet o Pawle! Wszak ile razy jej się przyśni, a ma to miejsce niemal każdej nocy, wnet zimną wodą twarz sobie umywa, aby ów sen nie wziął nad nią mocy i aby nie była zmuszona wbrew własnej woli kochać Pawła. Ha, więc Cywkowa zazdrościła jej nawet tego, aby ktoś, widząc ich postępujących obok siebie za wychodzącymi z kościoła nowożeńcami, nie zrobił takiej mniej więcej uwagi: »Patrzcie, jak tym dwojgu pięknie ze sobą, powinniby się także pobrać«. Byłyby to tylko puste słowa, ale zachowałaby je w pamięci przez całe życie, a nawet na łożu śmierci jeszczeby się niemi cieszyła... A tak czemże się cieszyć będzie? Ach, już widzi siebie samą, stojącą w tłumie, niby uschłe drzewo w lesie, bez czucia, bez siły, za życia umarłą... I czy potrafi przeżyć tę chwilę, gdy on inną do ołtarza powiedzie? Oh, gdybyż jej nie przeżyła! Rodzice są już w podeszłym wieku, niechże i córkę zabiorą ze sobą, odchodząc z tego świata...

Dlaczego jednak tak bardzo bierze do serca słowa młodej Cywkowej? Paweł jej przecie nie zwierzał się z pewnością ze swoich myśli. O nie, nie chce przypuszczać nawet, że rozmarynu nie

przyjmie dlatego tylko, że ona jest nieodpowiednią na druchnę dla niego. Wszak tańczy z nią na każdej muzyce w obecności wszystkich, a tańczyłby zapewne jeszcze więcej, gdyby nie musiała zaraz po drugiej pieśni wracać, bo zawsze ją prosi, aby nie odchodziła, że dość jeszcze czasu, ojciec zaś z pewnością za jakiś tam kwadransik gniewać się nie będzie. W Starodębiu na odpuście, gdzie dłużej bawić się mogła, z rąk jej prawie nie wypuszczał. Dziewczęta tego nie spostrzegły, przez cały bowiem wieczór wiodły spór o jakieś serce marcypanowe, które jedna drugiej miała wziąść. A niedalej, jak onegdaj, cóż się zdarzyło? Ciągnęła siano z drugiego pokosu w sankach z gór, gdzie gmina wynaczyła ojcu kawałek hali do użytku, gdy Paweł, który wracał skądś również, zobaczył ją, w kilku susach był już przy niej i ciągnął jej sanki aż het precz do wioski. Dalej iść mu sama nie pozwoliła, aby złośliwe języki ludzkie nie miały nic do mówienia. Nie wstydził się jej wcale, chociaż miała na sobie kaftanik ze zgrzebnego płótna. Nie był wprawdzie zbyt rozmowny, rwały mu się jakoś słowa na ustach i jej także nie przychodziło na myśl nic takiego, coby mogło dać początek rozmowie, zoczywszy go bowiem doznała takiego wrażenia, jak gdyby nagle ogołocono jej głowę z myśli, a wstawiono do niej natomiast terkoczący młyn — milczeli więc oboje, ale on kilka razy tak na nią spojrzał, że słowa żadne nie mogłyby nic serdeczniejszego wypowiedzieć.

W tem Celka znowu przypada do trawy i głowę w niej kryje. Nie z własnego to popędu tak ochoczo z nią tańczył na odpuście! I jak mogła o tem zapomnieć? Podeszła go podstępnie, czarów nań użyła i to się teraz na niej mści! Gdy na nieszczęsnym owym odpuście przyniósł jej szklankę piwa, prosząc aby do niego wypiła, ona w zdradziecki a niedostrzeżony sposób zdmuchnęła wpierw wszystką pianę ze szklanki, a potem dopiero się napiła. Pragnęła go przywabić ku sobie, aby ją tylko wciąż brał do tańca, no i udało się to jej znakomicie. Dlatego, jedynie dlatego tak z nią wywijał. A że przyszedł onegdaj w góry do niej i dopomógł zwieźć potraw, dowodzi to jedynie, że czary dotąd jeszcze nie utraciły swej nad nim mocy...

— Ho, ho! którąż to z naszych dziewcząt tak łzami się zalewa? — zapytuje nagle tuż obok Celki drżący i słaby jakiś głos.

Celka zrywa się na to zapytanie, jak szalona, a jagody jej płoną przerażeniem i wstydem. Nie ma jednak czego tak bardzo się lękać, bo pytającą jest tylko stara Bubelowa, wdowa mieszkająca na dożywociu w tamtym, hen, domku w dolinie na skraju lasu. Nie ma już sił bywać w kościele w Świetli*, chodzi więc modlić się w niedzielę i święta o nieszpornym czasie pod krzyż nad potokiem. Rozsądna z niej i wielkie doświadczenie posiadająca kobieta, ale tak gadatliwa, że wolałaby spędzić cały dzień na czczo, niż wyrzec się gawędki, która jest dla niej przyjemnością najwyższą. Każdy, co ją spotka, musi przystanąć, a ona go nie puści wpierw, nim nie wypowie wszystkiego, co leży jej na sercu.

— Co ja widzę! tyś to, Celko grabarzówno? — dziwi się, poznając zapłakaną dziewczynę. — I cóż ci się stało, że tak rozpaczasz?? A może kto chory u was w domu i ty właśnie biegniesz po znachorkę dla niego?

— To nie, dzięki Bogu!

— Czegoż więc lamentujesz, dziewczę? Czy może chłopiec jaki nie dochował ci wiary?

Celka ponownie rumieńcem się oblewa.

— Toć wpierw musiałabym go mieć chyba?

— Możesz nie przyznawać się do niego jawnie, ale tem głębiej kryć w serduszku swoje dla niego uczucia.

— Ale gdzież tam...

— Nie sądź tylko, proszę, że chcę zmusić cię do jakich zwierzeń, nie przystoi mi nawet zajmować się takiemi świeckiemi rzeczami, gdyż co innego mam już przed oczyma i w myśli. Jeżeli jednak tak się złożyło, żeśmy się spotkały, dam ci radę, jak masz sobie postąpić, gdybyś pokochała kiedy takiego, coby ciebie nie kochał. Nigdy wszak wiedzieć nie możemy, co nas spotka w przyszłości, co na nas z góry zesłanem zostanie, a środek, o którym ci powiem, jest tak pewny, jak to, że Chrystus został ukrzyżowany.

I nie troszcząc się już wcale, czy Celka chce jej słuchać, czy nie, czy ciekawa jest poznać jej środek, czy też zgoła nim się nie interesuje, stara Bubelowa rozsiada się wygodnie na trawie, sadza obok siebie dziewczę i tak prowadzi rzecz swoją:

— Powiem ci szczerze, że i ja kiedyś byłam młodą i niby jagódka rumianą, słowem zupełnie taką, jaką ty dziś jesteś. Ojciec twój wybornie to zapewne pamięta, bo służył do mszy, gdym brała ślub. Wyuczoną byłam wszystkiego tak dobrze, jako i ty: umiałam na pamięć kilka setek modlitw, a świętych pieśni i litanji tyle zapewne, ile ich na świecie istnieje. Pokochał mię niejaki Maciej Kysel i ja także go pokochałam. Pocóżbym się zapierać miała, jak gdyby w tem było co złego? Wszak nie dawaliby księża ślubów ludziom, gdyby się to woli boskiej sprzeciwiało. Któż bowiem, jak nie oni, miałby wiedzieć co być powinno, a czego nie powinno? Toć przecie papież trzy razy do roku z Panem Jezusem rozmawia, nie ulega więc wątpliwości, że się go o to dokładnie wypytał. Oświadczyłam atoli z góry Maciejowi, gdy po raz pierwszy mię zaczepił, że nie będę miała żadnego innego posagu prócz beczki suszonych obierzyn z kartofel, prosząc go, aby dłużej tak ze mną nie stał, jeżeli mu takie wiano zbyt mizernem się wydaje. Ale

* Świetla -- wieś położona w Jesztedzie, której nazwę autorka obrała sobie za pseudonim. (Przyp. tłum.).

on zaczął mię upewniać, że nic go to zgoła nie obchodzi co mam, a czego nie mam, że biedy z nim nigdy nie zaznam, bo umie w każdym terminie sobie poradzić. I tak wciąż mi bajał, aż ludzie mu stręczyć zaczęli pewną dziewczynę, której rodzice obiecali dać jałówkę. Od tej chwili przestał u nas bywać i na mnie ani spojrzał. Nie dałam poznać ludziom po sobie, co się we mnie działo, ale gdy nikt mię nie widział, zachowywałam się zupełnie tak, jak ty teraz. Łzy i zmartwienie wtrąciły mię w tak ciężką chorobę, że w domu sądzono, jako przyszedł już na mnie koniec. Matka udała się po radę do znachorki, która była niezmiernie mądrą niewiastą, tak prawie mądrą, jak twoja matka. Nie miała dla córki tyle, co pod paznogciem, dziewczyna nadto tak była brzydka, że towarzyszki z niej żartowały, a chłopcy od niej uciekali, pomimo to wszystko jednak wydała ją za największego w całej okolicy bogacza. Dowiedzieli się potem ludzie, że złapaną w wielki czwartek żabę wsadziła do nowego, umyślnie przedziurawionego garnka i zagrzebała w mrowisku, a po upływie roku, znowu w wielki czwartek odkopała i dała córce pozostałą w garnku z żaby kostkę w kształcie haczyka. Córka zaś wychodząc z kościoła po nabożeństwie wielkanocnem, dotknęła w babińcu tym haczykiem w lewe ramię onego bogacza, który był synem młynarza i odrazu go sobie pozyskała. Od tej chwili — chciał, czy nie chciał — a musiał ją kochać i za najpiękniejszą w świecie uważać. Owoż matka moja zwróciła się do tej właśnie znachorki z prośbą, aby i mnie dała jaką radę, byle nic takiego, coby zbawieniu duszy mogło zaszkodzić. Ona zaś poradziła mi, abym poszła do spowiedzi i komunji, potem kupiła od zakrystjana dwie świece woskowe, zapaliła je z grubszego końca, a cieńszym przylepiła do ołtarza przed obrazem Matki Bozkiej, a potem trzykrotnie odmówiła po trzy zdrowaśki, powtarzając po każdej trzy razy następujące słowa: »Ofiaruję ci, przeczysta Panienko, te świece woskowe, abyś raczyła myśl moją uspokoić. Czego ty chcesz na niebie i ziemi, tego też chce Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch święty«. Spełniłam wszystko, jak mi kazała i cóż powiesz? zaledwiem wymówiła ostatnie wyrazy, ogarnęła mię senność. Usnęłam u stóp ołtarza po raz pierwszy po wielu bezsennych, we łzach spędzonych nocach. Zakrystjan domyślając się, że wypełniam jakiś ślub, nie budził mię, otworzyłam więc oczy wówczas dopiero, gdy zadzwoniono na południe i zaraz uczułam, że smutek wszelki jakby kto ręką ze mnie zdjął, ja zaś lekką jestem, niby bujający w powietrzu ptak, któremu nic zgoła nie ciąży. Maciej mógłby w tej chwili śmiało przejść obok mnie, prowadząc narzeczoną swoją do ołtarza, byłabym się z tego poprostu śmiała. Wydziwić się dość sama sobie nie mogłam, żem go tak gorąco kochała, aż miłość o chorobę mię przyprawiła. Wyszłam też wkrótce potem za mąż i Maciej mi nigdy na myśl nawet nie przychodził. Kochaliśmy się szczerze z mężem i dobrze nam się wiodło na świecie. Za ową beczułkę obierzyn dostałam we dworze koźlątko. Stało się ono podstawą naszej zamożności. Pracowaliśmy gorliwie oboje aż dorobiliśmy się chałupki, którą poźniej udało się nam korzystnie sprzedać, za otrzymane zaś pieniądze kupiliśmy tę chatę, w której teraz siedzę, jak wiesz, u córki na dożywociu.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.

C. d. n.

Rozbiory i sprawozdania.

»Żywot Adama Mickiewicza« — Podług zebranych przez siebie materjałów oraz z własnych wspomnień opowiedział Władysław Mickiewicz. — Tom IV. W Poznaniu 1895.

Dzieło, którego tom IV. wyszedł z druku, zostało skończone. Nie jest ono w zupełności takiem, jakiem je mieć pragnęlibyśmy, w każdym jednak razie jest to najdokładniejsza, najszczegółowsza i — powiedzmy — najlepsza biografja znakomitego naszego wieszcza, jaka dotąd się pojawiła. Pietyzm synowski wprawdzie przeszkadzał autorowi krytycznie ocenić działalność, zwłaszcza polityczną, swego ojca, ale za to uczynił go wierniejszym, niż kto inny, tłumaczem uczuć i myśli genjalnego swego rodzica.

Z trzech pierwszych tomów zdawałem już w swoim czasie sprawę. Tom czwarty, o którym obecnie zamierzam kilka słów powiedzieć, jest najciekawszy i najważniejszy. Z jednej bowiem strony opowiada rzeczy dotąd mało znane publiczności polskiej, z drugiej zaś przytaczając liczne szczegóły, pozwala dokładniej ocenić udział naszej emigracji w wielkiem poruszeniu się ludów w pamiętnych latach 1848 i 1849.

Przedmiotem głównym czterech pierwszych rozdziałów jest legjon polski, utworzony przez Adama Mickiewicza. Opowiadanie o tym legjonie jest poprawnem, chociaż nieco skróconem powtórzeniem tego, co zawiera francuska onego historja, przed kilkunastu laty przez autora napisana. Jest wszakże i pewna różnica, którą zauważyłem. Pisząc dla Francuzów, p. Władysław uwydatniał charakter socjalistyczny działalności swego ojca; pisząc dla Polaków, starał się przyćmić ten charakter.

Autor, mówiąc o legjonie we Włoszech, chce — nie powiem — usprawiedliwić czyny swego ojca, bo usprawiedliwienia one nie potrzebują, ale chce apoteozować je niejako, chce przekonać, że jedynem właściwem polem dla walczącej emigracji naszej były Włochy, gdzie łatwo mogłyby stanąć potężne hufce zbrojne dla rozbicia walącego się absolutyzmu w państwie austrjackiem. Zdaniem autora, wychodźcy, śpiesząc do Poznańskiego i do Galicji, popełniali krok nierozważny, który wycieńczał emigrację, a krajowi żadnej korzyści nie przynosił. Zdanie to jest zupełnie mylne. Towarzystwo Demokratyczne nie było tak ślepe, jak mniema

autor: widziało ono, że najwłaściwszem polem dla rozpoczęcia walki zbrojnej o niepodległość było Poznańskie, i że tę walkę skutecznie poprzeć mogła Galicja, jeżeliby czynem szlachetnym i rzutkim rozwiązała doraźnie i sprawiedliwie kwestję włościańską. Poznańskie było gruntem polskim, na którym pomoc całego ludu była niewątpliwą, a po za plecami organizujących się hufców polskich demokracja niemiecka wznosiła sztandar bojowy przeciwko Moskwie. Jakiem było usposobienie ludu niemieckiego, maluje w części Józef Zaleski w liście do Domejki: »do wagonów, jak długo podróż, zapraszano darmo, na stacjach spotykały nas serenady i śpiew polski: *noch ist Polen nicht verloren*«. Przypływ większy świadomej swego powołania emigracji może popchnąłby komitet poznański do śmielszych czynów, a mieliśmy otwarte i szerokie pole przed sobą aż po Wisłę do pierwszych dni kwietnia — rzec można: Galicja potrzebowała także świadomego fermentu rewolucyjnego, i gdyby w niej więcej było takich Heltmanów, to może nie dalibyśmy się wyprzedzić ministrom wiedeńskim w zniesieniu poddaństwa i pańszczyzny.

P. Władysław Mickiewicz miałby wdzięczniejsze pole, dla opromienienia swego ojca jako męża, przodującego swemu wiekowi myślą polityczną i społeczną, w rozdziale, poświęconym dziennikowi *la Tribune des peuples*, gdyby nie chęć przyćmienia tego blasku socjalistycznego, jakim zajaśniała myśl autora »Ksiąg Pielgrzymstwa Polskiego«. Szkoda, że w tym wypadku nie był jedynem jego natchnieniem pietyzm synowski. Wogóle autor, który miał w swem rozporządzeniu liczne materjały, i którego wspierali swemi wskazówkami przyjaciele i współpracownicy jego ojca, za mało dał nam wiadomości o Trybunie i tych, co w niej pisali. I teraz nie wiemy, kto z Polaków, prócz Ksawerego Godebskiego i Chojeckiego, z oportunizmem którego jednak nasz poeta pogodzić się nie mógł, w tym dzienniku pisywał. Należy się spodziewać, że autor wróci jeszcze do »Trybuny« i da nam więcej wyczerpujące o niej studjum, ponieważ — jak sam pisze — nie zużytkował jeszcze ofiarowanego mu przez Aleksandra Chodźkę spisu zupełnego artykułów swego ojca w tym dzienniku i licznych autografów onych.

W tych pamiętnych latach wielkiego poruszenia się ludów bardzo sympatycznie zarysowuje się postać Celiny Mickiewiczowej. Towarzyszy ona całem sercem swemu mężowi w jego zabiegach o legjon; cieszy się, że nowe zasady zwycięsko torują sobie drogę; wreszcie swojem energicznem wystąpieniem u jenerała Cavaignac'a ocala Towiańskiego od deportacji. Rozrzewniającym jest opis jej choroby i zgonu.

Wyjazd Adama Mickiewicza do Turcji, pobyt w Konstantynopolu i w obozie kozackim Czajkowskiego w Burgas, choroba i zgon poety były już opisywane szczegółowo i dokładnie, ale i w tych przedmiotach nowe dzieło p. Władysława jest najbardziej wyczerpującem. Dołączone w dodatku listy Armanda Levy'ego i Henryka Służalskiego, który był materjałem na Paska a przynajmniej na Rogowskiego, także przyczyniają się wielce do podniesienia wartości tego tomu.

B. L.

Przegląd pism.

»Lud«, organ towarzystwa ludoznawczego we Lwowie. — Zeszyt I. 1895.

Założone w lutym r. b. Towarzystwo ludoznawcze pod kierownictwem energicznego swego wydziału już w kwietniu wypuściło w świat pierwszy zeszyt swego własnego miesięcznika. Jeżeli dla pewnego rodzaju towarzystw, jak n. p. czytelni i innych, pożądanem jest przedewszystkiem posiadanie własnego domu, własnego gniazda, to dla towarzystw w rodzaju tego, o którem mówimy, ważną jest rzeczą zdobycie jaknajrychlejsze siedziby, że tak powiemy, idealnej, własnego kąta dla wymiany myśli, kart dla umieszczenia i utrwalenia swych prac. Szybkie powstanie czasopisma »Lud« świadczy tedy co najmniej o żywotności towarzystwa, którego ono jest organem, i ruchliwości jego kierowników.

Na początek nie można, naturalnie, stawiać nowemu miesięcznikowi wygórowanych wymagań. Już szczupła jego objętość, jak zarówno i wiek młody i — co za tem idzie — niedostateczne skonsolidowanie towarzystwa na to nie pozwalają.

»Słowo wstępne« jest parafrazą tego, co dr. Kalina na pierwszem walnem zgromadzeniu o celach i zadaniach towarzystwa wypowiedział, uzupełnioną krótkiem wyłuszczeniem programu nowego czasopisma. Ma ono nietylko zbierać materjały i zbieraczom podawać użyteczne wskazówki, ale i poddawać zebrany materjał naukowemu opracowaniu, wszelako w formie przystępnej dla szerszego ogółu. Czasopismo będzie nadto starannie prowadzić działy: krytyki i sprawozdawcze.

Dr. Franko umieścił w omawianym zeszycie swój odczyt, wygłoszony na pierwszem miesięcznem posiedzeniu Towarzystwa o »najnowszych prądach w ludoznawstwie«, znany już czytelnikom naszym ze sprawozdania o tem posiedzeniu.

P. Karłowicz w krótkim artykuliku zastanawia się nad jednem z utartych w mowie naszej wyrażeń, mianowicie »deska grobowa«, dochodząc do wniosku, »że d e s k a g r o b o w a w piesniach naszych i wyrażenie d o g r o b o w e j d e s k i, którego w potocznej mowie używamy, odnoszą się do deski (ławy), na której, wedle odwiecznego zwyczaju składano nieboszczyków przed pogrzebem«.

Oprócz powyższych artykułów znajdujemy sprawozdania, dział: »poszukiwania i kwestjonarjusz« oraz rubrykę »Sprawy towarzystwa«.

p.

PRO MEMORIA.

7. maja 1794. Kościuszko wydał w obozie pod Połańcem dekret, ogłaszający osobistą wolność włościan.

8. maja 1863. Bohaterska, jakkolwiek niepomyślna bitwa pod Ignacewem — w okolicy Gopła — w której tysiąc powstańców walczyło z sześćkroć liczniejszym nieprzyjacielem.

9. maja 1794. Lud warszawski po wypędzeniu Moskali wymierzył sprawiedliwość zdrajcom ojczyzny, targowiczanom, zaprzedanym moskiewskiej carowej, którzy na Sejmie Grodzieńskim zatwierdzili drugi rozbiór kraju. Zginęli w tym dniu na szubienicy z ręki ludu: hetman litewski Zabiełło, biskup Kossakowski, hrabia Ankwicz, hetman koronny Ożarowski.

9. maja 1842. Zmarł w Paryżu jenerał Kniaziewicz, bohater kościuszkowskiego powstania i legjonów polskich.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.